

Cztery łapki

NIE KUPUJ.
ADOPTUJ



Julia Brylewska 🐾 Kinga Litkowiec 🐾 Dagmara Jakubczak
Monika Skabara 🐾 Anna Langner 🐾 Paulina Zalecka
Ewelina Dobosz 🐾 Katarzyna Kasmat-Łyskaniuk

*Julia Brylewska, Kinga Litkowiec, Dagmara Jakubczak,
Monika Skabara, Anna Langner, Paulina Zalecka,
Ewelina Dobosz, Katarzyna Kasmat-Łyskaniuk*

Cztery tapki

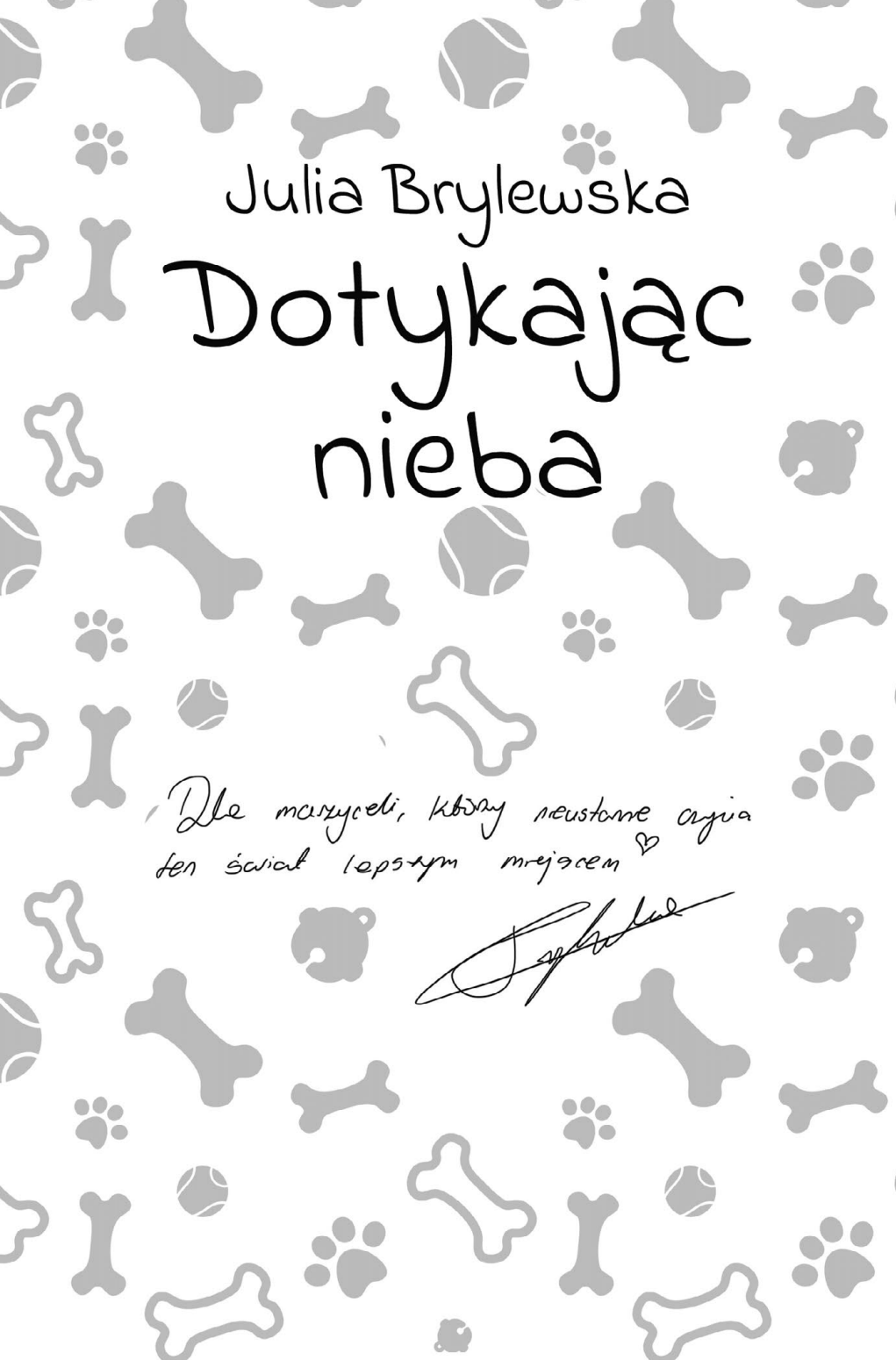
*Dla ludzi o wielkich sercach,
którym zwierzęta nie są obojętne*

Poznaj czworonoga Julii Brylewskiej



Zeskanuj kod QR i wesprzyj
fundację „Ja Pacze Sercem”





Julia Brylewska

Dotykając nieba

*Dla marzyceli, którzy nieustannie czynią
ten świat lepszym miejscem ♥*





– Mieszkańców Nowego Jorku czekają w tym roku wyjątkowo białe święta! Synoptycy przestrzegają przed intensywnymi opadami śniegu i proszą o zachowanie ostrożności szczególnie tych, którzy zamierzają spędzić Boże Narodzenie poza domem. Bezpiecznej podróży i spokojnych świąt życzy zespół radia...

Brian ściszył odbiornik, aż głos prezentera zmieszał się z dźwiękami, które wpadały do samochodu przez okno. Przez czterdzieści minut, w trakcie których próbował przedrzeć się przez korki i wrócić do domu, słyszał ten sam komunikat cztery razy. Wiedział, że piątego by nie zniósł. Podobnie jak kolejnej powtórki *Last Christmas* i *All I Want For Christmas Is You*, które od kilku tygodni przejęły stacje radiowe.

W normalnych okolicznościach droga z centrum Brooklynu na przedmieścia zajmowała mu zwykle nieco ponad kwadrans. Niestety w dzień przed cho-
lernymi świętami, gdy połowa miasta obudziła się, że wciąż nie ma wystarczającej liczby prezentów, i tłumnie wyjechała na ulice, czas podróży znacznie się wydłużył, przez co Brian tkwił w samochodzie od blisko godziny.

Uwięziony w ciągnącym się na kilka mil korku, aby zająć czymś myśli, wyrzwał za boczne okno. Mijał właśnie jedną z bram Central Parku. Po zasypanym śniegiem chodniku krążyli ludzie z torbami prezentowymi. Śmiejąc się, przechodzili obok staruszki sprzedającej gorącą herbatę z małego wózka. Nikt nie zwracał na nią uwagi, gdy posyłała w ich stronę uśmiechy, licząc, że zachęci ich tym do zakupu. Wszyscy byli zbyt zajęci własnymi sprawami, aby zaprzętać sobie głowę ciepłym napojem.

Samochód za nim zatrafił.

Brian zerknął przed siebie i dostrzegł, że podczas gdy korek przesunął się znacznie w przód, on wciąż stał w miejscu. Wrzucił wyższy bieg i ruszył przed siebie, prosto do domu. Gdy kwadrans później wysokie wieżowce zaczęły powoli ustępować miejsca małym, bliźniaczo podobnym do siebie białym domkom z idealnie przyszyronymi trawnikami, które teraz przykrył gęsty śnieg, szum miasta zniknął gdzieś daleko za nim.

Minął stojącą na ulicy ciężarówkę firmy przeprowadzkowej i wyglądającą z okna panią Elder – wścibską staruszkę, która nie przepuściłaby okazji, aby dowiedzieć

się wszystkiego o nowych sąsiadach. Nawet w święta, chociaż zapewne odwiedził ją tłum wnuków.

Na przedmieściach Nowego Jorku życie wydawało się tak różne od zgiełku panującego w centrum. Czasami Brian czuł się tutaj zupełnie tak jak w rodzinnym Texasie, gdzie każdy każdego znał, a jakkolwiek sekret pozostawał nim tak długo, dopóki późnym wieczorem sąsiadki nie spotkały się na herbacie i nie zaczęły plotkować.

Być może od pewnych rzeczy nigdy nie można uciec?

Zaparkował samochód na nieodśnieżonym podjeździe, zgasił silnik i... ze wzrokiem utkwionym w garażowej bramie głęboko odetchnął. Minęła dłuższa chwila, nim w końcu zebrał się w sobie i wysiadł z auta prosto na mroźne, zimowe powietrze.

Gdy tylko z trzaskiem zamknął drzwi, w kieszeni jego płaszcza rozbrzmiał telefon. Na ekranie pojawiło się natomiast zdjęcie uśmiechniętej kobiety w okularach żywcem wyjętych z filmów o Harrym Potterze – Brian wiele razy próbował przekonać ją, że może powinna je zmienić, ale jego mama była nieznośnie upartą istotą.

W pierwszej chwili chciał wcisnąć czerwoną słuchawkę, ale równie szybko pojął, że chyba wołał mieć tę rozmowę już za sobą.

Zamiast powitania w słuchawce w pierwszej kolejności rozbrzmiało:

– Próbuje dodzwonić się do ciebie od rana!

– Ciebie też miło słyszeć, mamó – odparł, okrążając samochód. – Byłem w pracy.

– Kto pracuje w święta? – Nie kryła oburzenia, które podszyte było jednak matczyną troską.

– Połowa Nowego Jorku. – Przytrzymując telefon ramieniem, wyjął z bagażnika papierową torbę z zakupami i ruszył w stronę ganku. – Wszystko w porządku? Jak czuje się tata?

– Od rana przyozdabia dom lampkami. Walkerowie w tym roku wykupili chyba połowę działu z ozdobami świątecznymi, więc kazałam mu rozwiesić kilka dodatkowych kompletów.

Brian uśmiechnął się pod nosem.

Walkerowie, najbliżsi sąsiedzi jego rodziców, niegdyś byli także ich najlepszymi przyjaciółmi, ale od pewnego pamiętnego lata, kiedy doszło pomiędzy nimi do sprzeczki o rzecz, której zapewne nikt z nich już nie pamiętał, toczyli ze sobą niewypowiedzianą wojnę. Szczególnie w kwestii świątecznych dekoracji.

– Chyba nie kazałaś mu wchodzić na dach, prawda? – Odszukał komplet kluczy na dnie kieszeni. – Tata nie ma już czterdziestu lat – przypomniawszy, popychając drzwi i wchodząc do środka.

Dom wypełniała cisza i wciąż lekko wyczuwalny zapach kawy, którą zaparzył rano. Odstawił zakupy na blat kuchennej wyspy, tuż obok kubka z zimnym już napojem.

– Oczywiście, że nie! – odpowiedziała oburzona. – Ale nie zadzwoniłam po to, abyśmy rozmawiali o twoim ojcu.

No tak, pomyślał.

– Gdybyś wsiadł w ostatni samolot, zdążyłbyś wrócić do domu na świąteczne śniadanie.

– Mamo...

– Melanie bardzo się zasmuciła, gdy dowiedziała się, że w tym roku też cię nie będzie. Powinieneś w końcu poznać swoich siostrzeńców. Są naprawdę uroczy.

– Nie wątpię.

Ostatnim, na co Brian miał ochotę, było spędzenie czasu w towarzystwie swojej młodszej siostry i jej idealnej rodziny.

– Nie wrócę, mamo.

– Brianie...

– Może za rok.

– Zawsze to powtarzasz – przypomniała, choć w jej głosie było słychać już o wiele więcej zrezygnowania niż jeszcze chwilę wcześniej.

A ty i tak co roku dzwonisz, licząc, że zmienię zdanie, pragnął powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie chciał dokładać kobiecie więcej zmartwień.

– W święta nikt nie powinien być sam.

– Nie jestem sam. Mam Maxa.

– Pies to nie rodzina.

W słuchawce rozbrzmiało westchnienie. Poddawała się. Z każdym kolejnym rokiem przychodziło jej to coraz szybciej.

– Obiecay mi chociaż, że zadzwonisz, abym mogła złożyć ci życzenia.

– Obiecuję. Pozdrów ode mnie Melanie i tatę.

– Pozdrowię, a ty zjedz, proszę, coś ciepłego. Masz chociaż choinkę?

Brian zerknął w stronę pustego salonu.

– Jasne – skłamał. – Muszę już kończyć. Właśnie wróciłem do domu.

– Uważaj na siebie.

Odsunął telefon od policzka, po czym wcisnął czerwoną słuchawkę i przetarł twarz dłonią. Następnie zerknął na torbę z zakupami i starając się jak najszybciej zapomnieć o rozmowie z mamą, wyjął z niej puszkę karmy dla psa.

– Max! – zawołał, przechodząc przez korytarz. – Kupiłem dla ciebie coś specjalnego! To twój szczęśliwy dzień, przyjacielu... – Zamilkł, gdy tylko znalazł się w salonie.

Drzwi prowadzące do ogrodu były delikatnie uchylone.

– Cholera.



Nawet teraz, stojąc na zasypanym śniegiem trawniku i trzymając komplet kluczy w dłoni, Daphne nie potrafiła uwierzyć, że naprawdę jej się to udało. Była tutaj, z dala od przeszłości, gotowa zacząć wszystko od nowa, z zupełnie czystą kartką, którą mogła zapełnić tak, jak tylko tego pragnęła.

Co prawda nie miała jeszcze zbyt wielu pomysłów odnośnie do tej kwestii, ale zakup nowego domu

wydawał się całkiem dobrym początkiem zupełnie nowej historii.

– Pani Hebert?

Na dźwięk męskiego głosu drgnęła wyrwana z marzmu własnych myśli. Spojrzała na opasłego, uśmiechniętego mężczyznę, który oznajmił:

– To był już ostatni karton. Czy w czymś jeszcze potrzebuje pani mojej pomocy?

– Nie. – Pokręciła głową. – Proszę wracać do rodziny, na pewno na pana czekają. I jeszcze raz bardzo dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas w tym szalonym okresie.

– Proszę nie dziękować, to moja praca – odparł. – Wesołych świąt!

– Wzajemnie! – zawołała za nim, gdy ruszył w stronę zaparkowanej na ulicy ciężarówki.

Dopiero gdy ta zniknęła za rogiem, Daphne ponownie spojrzała na swój nowy dom. Uśmiechnęła się szeroko, mając ochotę pisać z ekscytacji niczym nastolatka. Powstrzymała jednak to pragnienie i powoli ruszyła przed siebie, chcąc nacieszyć się każdym postawionym krokiem.

Przystanąła na drewnianym ganku, aby odwrócić się i omieść wzrokiem okolicę. Wszystkie domy były przyozdobione świątecznymi dekoracjami, które w połączeniu z białym puchem tworzyły urzekający obraz.

Wszystko było idealne. Dokładnie takie, jak mogła sobie wymarzyć.

Z szybko bijącym sercem podeszła do drzwi i ostrożnie chwyciła klamkę, aby już chwilę później przestąpić próg. Policzki niemal bolały ją od przyklejonego do twarzy szerokiego uśmiechu. Pokonała wąski korytarz, zajrzała do małej, zupełnie jeszcze pustej kuchni, potem do sypialni, łazienki i w końcu do salonu. Stał w nim kominek, owinięta folią kanapa – jedna z nielicznych rzeczy, jakie zabrała ze sobą z Kanady – cały stos kartonów i...

Daphne podeszła do sztalugi i upewniwszy się, że ta przetrwała transport – podczas pakowania bardzo prosiła, aby traktować ten przedmiot z wyjątkową ostrożnością – przesunęła ją najpierw w stronę korytarza, a potem w stronę okien i wyjścia na ogród, skąd do środka dostawało się nieco jaśniejsze światło.

Podczas szukania odpowiedniego domu brała pod uwagę opcję zagospodarowania jednego pokoju na swoją pracownię, ale równie szybko porzuciła ten pomysł. Od zawsze lubiła malować w przytulnych, domowych wnętrzach. Z salonu będzie miała idealny widok na ogród, gdy wiosną bardziej o niego zadbą. Zamierzała posadzić w nim kwiaty, kilka drzew, a może nawet pokusi się o fontannę w wiktoriańskim stylu?

Wyobrażając sobie wszystkie te zmiany, cofnęła się o krok od sztalugi, po czym zerknęła w stronę okien. Z jej gardła nagle wyrwał się zduszony krzyk, gdy tuż za szkłem ujrzała... Cóż, w pierwszej chwili wyobraźnia podsunęła jej obraz niedźwiedzia, ale jej nieproszony

gość był tylko dużym labradorem, który radośnie machał ogonem.

Odetchnęła głęboko, chcąc uspokoić kołatające w piersi serce. Następnie podeszła do drzwi i odsunęła je, wpuszczając do salonu nieco chłodnego, rześkiego powietrza.

– No hej. – Ukucnęła. – Zgubiłeś się?

Pies zaszczekał, na co Daphne cicho się zaśmiała.

– Pozwól, że uznam to za odpowiedź twierdzącą.

Wyciągnęła dłoń w stronę czworonoga, który najpierw nieco nieufnie obwąchał jej palce, potem delikatnie je polizał, aż w końcu pozwolił jej się pogłaskać.

– Gdzie twoi właściciele, co? Muszą potwornie się o ciebie martwić, wiesz? – Powoli wstała na równe nogi i zerknęła na zwierzaka. – Co powiesz na to, abyśmy pomyśleli o tym w środku? – zaproponowała. – Na pewno zmarzłeś. – Cofnęła się o krok i zamokła.

Pies wdreptał do salonu, brudząc podłogę swoimi mokrymi od śniegu łapami.

– Chodź. – Rzuciła przez ramię, ruszając w stronę kuchni.

W jednym ze stojących tam kartonów odnalazła małą, porcelanową miskę, do której nalała wody. Postawiła ją na podłodze i patrzyła, jak pies łapczywie z niej pił. Jednocześnie zastanawiała się, czy to możliwe, aby ktoś go wyrzucił? Zwierzak nie miał obroży, ale nie wyglądał na zaniedbanego.

Z korytarza dobiegł dźwięk pukania do drzwi.

– Poczekaj tutaj na mnie, okej? – zwróciła się do psa, który uniósł łeb i przechylając głowę w bok, niemal natychmiast podreptał za nią, niczym jej własny cień.

Gdy Daphne otworzyła drzwi, jej oczom ukazała się uśmiechnięta staruszka z porcelanowym dzbankiem w dłoniach.

– Dzień dobry, moja droga! Nazywam się Mary Elder, mieszkam tuż obok. Pomyślałam, że przyjdę powitać nową sąsiadkę.

– Och, bardzo mi miło.

– Na dobry początek naszej znajomości przyniosłam drobny prezent. – Wręczyła Daphne dzbanek, niemal wciskając jej go w dłoń. – To grzaniec własnej roboty. Moja specjalność. Tylko radzę uważać z ilością. Nieźle kopie!

Otwartość i bezpośredniość nowej sąsiadki nieco ją krępowała. W przeciwieństwie do członków swojej rodziny nigdy nie należała do osób, które wśród zupełnie obcych ludzi czuły się jak ryba w wodzie.

Była raczej... Cóż, introwertyczką.

W każdym znaczeniu tego słowa.

– Naprawdę nie musiała się pani kłopotać...

– To żaden kłopot! – zapewniła. – Tutaj wszyscy jesteśmy jak rodzina. To niewielka okolica i bardzo spokojna.

Daphne uśmiechnęła się na te słowa.

Szukała właśnie czegoś takiego.

Nagle o czymś sobie przypomniała.

– Powiedziała pani, że mieszka tuż obok?

Mary Elder przytaknęła.

– Zaraz za płotem.

– Nie zgubiła pani może psa?

– Psa? – Zdziwiła się. – Och, nie, mam uczulenie na wszystkie zwierzęta. Dlaczego pytasz?

Zwierzak, jakby w odpowiedzi na pytanie, które właśnie padło z ust staruszki, zaszczekał tuż za plecami Daphne.

– Znalazłam go w moim ogródku.

Pani Elder zajrzała do środka domu.

– Ach, tak, mogłam się tego domyślić. – Pokręciła głową. – To pies Briana. Często ucieka i błąka się po ulicach.

– Briana?

– Mieszka kilka domów dalej, rzadko można go gdziekolwiek spotkać. Całymi dniami pracuje, wraca późno, nic dziwnego, że ten biedny pies ma dosyć siedzenia zupełnie sam.

Daphne zerknęła przez ramię na zwierzaka, który radośnie machał ogonem.

– Może mi pani powiedzieć, pod którym numerem mieszka ten człowiek?

– Nie muszę, moja droga. Z pewnością bez problemu tam trafisz. To jedyny dom w okolicy, który nie ma świątecznych ozdób.



Brian w pośpiechu zgarnął kluczyki z kuchennego blatu, a w korytarzu narzucił na ramiona czarny płaszcz, myśląc jedynie o tym, że na zewnątrz było dobre kilka stopni na minusie. Nie wiedział, od jak wielu godzin Max błąkał się po ulicy ani w którą stronę mógł pójść.

Cholerny pies, pomyślał, choć o wiele bardziej niż wściekłość w tamtej chwili doskwierało mu zmartwienie.

Chwycił klamkę, a gdy otworzył drzwi, gwałtownie się zatrzymał. Pierwszym, co ujrzał, była kolorowa wełniana czapka kobiety, która stała na jego ganku z uniesioną dłonią, jakby właśnie miała zamiar zapukać. Potem zobaczył błysk zaskoczenia w jej niebieskich oczach, następnie pełen zakłopotania uśmiech, a dopiero na końcu mierzający ogon swojego psa.

– Chyba znalazłam pana zgubę. – Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała. Mimo panującego na zewnątrz mrozu i jej zaróżowionych policzków głos miała niespotykane ciepły i kojący.

– Dzięki Bogu. – Odetchnął, zerkając na psa. – Masz pojęcie, jak potwornie się o ciebie martwiłem?

Max wbiegł do domu, przeciskając się pomiędzy nogami mężczyzny. Niemal natychmiast pobiegł do kuchni, gdzie stała miska z jego jedzeniem.

Brian spojrział na nieznajomą. Dopiero teraz, gdy pupil był bezpieczny w domu, mógł nieco uważniej jej się przyjrzeć. Była młoda, choć raczej nie wyglądała na nastolatkę. Spod jej czapki wystawały kosmyki jasnych włosów, a na ustach widniał lekki uśmiech.

Choć nie należał do ludzi, którzy przesadnie interesowali się własnymi sąsiadami, był pewien, że nigdy wcześniej nie widział tutaj tej kobiety.

– Dziękuję. Właśnie miałem wsiąść do samochodu i zacząć go szukać.

– Był w moim ogródku – odparła. – Dałam mu trochę wody.

– Mam nadzieję, że nie narobił kłopotu.

– Nie. To bardzo grzeczny pies.

– Max.

– Daphne.

Daphne, powtórzył w myślach.

– Nie... On... – Wskazał za siebie. – On ma na imię Max.

– Och.

Cisza, która nagle pomiędzy nimi zapadła, pachniała skrępowaniem.

– Brian – powiedział w końcu. – Mam na imię Brian.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

– Cóż... Miło mi cię poznać, Brianie.

Utkwił w niej spojrzenie, znów nieoczekiwanie milknąc, choć zwykle nie łąpał się na chwilach, kiedy brakowało mu słów. Nie był już przecież nastolatkiem, lecz dorosłym mężczyzną. Ale sposób, w jaki nieznajoma się do niego uśmiechnęła... Pragnął odpowiedzieć jej tym samym, lecz zanim się na to zdobył, szczekanie Maxa dobiegło z głębi domu, przerywając ten pełen ciszy moment.

– Powinnam już wracać – powiedziała, cofając się.
– Jeszcze raz dziękuję, że go przyprowadziłaś.
– To nic takiego – zapewniła. – Postaraj się lepiej go pilnować. Wesołych świąt!

Nie odpowiedział. Te dwa słowa od bardzo dawna nie opuściły jego ust. Patrzył więc w milczeniu, jak Daphne się odwraca, a chwilę później jej jasny płaszcz znika wśród zasypanej śniegiem ulicy.

Wówczas wrócił do domu. Odnalazł Maxa w kuchni.

– Poważnie? – zapytał z niedowierzaniem. – Musisz uciekać nawet w święta? Aż tak bardzo mnie nie znosisz?

Pies spojrzał na niego, znów merdając ogonem.

Brian westchnął i podrapał zwierzaka za uchem.

– Masz szczęście, że mam do ciebie słabość.



Rozpakowanie trzech kartonów zajęło Daphne prawie dwie godziny, po których straciła początkowy entuzjazm oraz resztki motywacji. Opadając na owiniętą folią kanapę, głęboko odetchnęła.

W akompaniamencie ciszy rozejrzała się dookoła. Może to miejsce na ten moment nie przypominało jej wymarzonego domu – wszystkie pokoje były puste, ściany nieprzyjemnie białe, a podłoga zawalona nierozpakowanymi rzeczami – ale z czasem, gdy tylko poświęci tym czterem ścianom nieco więcej uwagi, poczuje się tutaj jak u siebie.

Zerknęła na sztalugę, która wciąż stała dokładnie tam, gdzie ją zostawiła. Dotykana promieniami zachodzącego słońca, cicho domagała się, aby poświęcić jej nieco więcej troski.

Daphne, nie mogąc zbyt długo pozostać obojętną na jej prośby, wstała na równe nogi. W jednym z kartonów odnalazła owinięte papierem płótno. Nie zabrała ze sobą żadnego z obrazów, oprócz tego jednego. Wciąż bowiem go nie dokończyła. A nie zwykła niczego tak po prostu porzucać.

Ustawiła płótno na właściwym miejscu, po czym z zestawu pędzli wyjęła ten z ułamaną rączką. Liczył sobie już kilka dobrych lat, naznaczone czasem włosie było wygięte we wszystkie możliwe strony, ale sentyment nie pozwolił jej się go pozbyć.

Zanurzyła pędzel w farbie, która stanowiła nieco ponurą mieszaninę szarości i błękitu, po czym spojrzała na płótno. Niezwykle rzadko zastanawiała się nad czymkolwiek dłużej niż ułamek sekundy. Po prostu pozwalała, aby jej dłonie robiły swoje, kierowane sercem, kawałkiem duszy i tym trudnym do powstrzymania pragnieniem, aby zapełnić czymś pustą przestrzeń płótna.

Ręka Daphne zawisała kilka cali od ostatniego porzuconego fragmentu obrazu. Wzdłuż jej nadgarstka najpierw przetoczył się załątek bólu, znajomy i obcy zarazem, a tuż po nim – odrętwienie, które na chwilę przejęło kontrolę nad wnętrzem dłoni, knykciami, a w końcu także i nad palcami.

Pędzel wysunął się spod jej dotyku, aby z trzaskiem runąć na podłogę.

Daphne zacisnęła powieki. Nie ruszyła się, nawet nie drgnęła. Tkwiła w takiej pozycji, z ręką niemal dotykającą płótna, o wiele bardziej przypominając posąg niż żywego człowieka.

Po prostu czekała, aż *to* odejdzie.

Prędzej czy później zawsze odchodziło, za każdym jednak razem pozostawiając po sobie o wiele większe spustoszenie. Jak rysa na szkle, której nie dało się niczym pozbyć. Zostawała tam już na wieczność, przypominając o sobie za każdym razem, kiedy Daphne zerknęła na własne odbicie.

Powoli otworzyła oczy, jednocześnie nabierając w płuca pierwszy głęboki wdech. Zniżyła wzrok. U jej stóp leżał pędzel, który, upadając, pobrudził jej spodnie, skarpetki, a także podłogę.

Obraz rozpaczy, przed jaką usilnie próbowała uciec.

Nagle zaśmiała się z kpiny.

W głębi serca wiedziała, że nieważne, dokąd się uda, i tak nie ucieknie. W końcu jak mogłaby uciec przed samą sobą i tym, czym powoli się stawała?

Przełknęła z trudem.

Weź się w garść, pomyślała.

Ukucnęła, aby wciąż lekko drżącą dłonią chwycić pędzel. Jej palce zacisnęły się na drewnianym trzonku o wiele mocniej, niż było to konieczne, zupełnie jakby próbowała przypomnieć sobie, że przecież wciąż miała jeszcze dostatecznie dużo siły.

Wyprostowała się i uniosła wzrok, chcąc znów zerknąć na sztalugę. Uwaga kobiety skupiła się jednak na czymś zupełnie innym – na ogrodzie i merdającym radośnie ogonie Maxa, który znów ją odwiedził.



Brian nie krył zdziwienia, gdy po raz drugi ujrzał Daphne przed swoim domem. Dopiero gdy Max wyrzwał zza jej nóg, zaskoczenie ustąpiło miejsca irytacji.

– Znów do mnie zajrzał – wyjaśniła.

– Przepraszam. Naprawdę nie wiem, w którym dokładnie momencie opanował technikę otwierania drzwi do ogrodu, gdy wciąż nie bardzo wie, jak korzystać z własnej miski.

Daphne uśmiechnęła się na te słowa.

Brian przywołał psa do siebie, po czym obdarzył kobietę spojrzeniem. Jego ciemne oczy omiotły pośpiesznie jej twarz, zanim powiedział:

– Obiecuję, że już więcej nie będzie cię niepokoił.

– To naprawdę nic takiego – zapewniła. – Dopiero się wprowadziłam, więc cieszę się, że znalazłam pierwszego przyjaciela. Nawet jeżeli ma cztery łapy i ogon – zażartowała, aby równie szybko skarcić się za to w myślach.

Za każdym razem, kiedy zbierała w sobie nieco więcej odwagi, aby wykrztusić więcej niż dwa słowa, miała wrażenie, że plotła kompletne bzdury. W tym momencie poczuła się dokładnie tak samo, bowiem

Brian się nie zaśmiał. Chryste, nawet się nie uśmiechnął. Czyżby znów zrobiła z siebie idiotkę?

– Chyba już pójd...

– Wejdiesz? – zapytał, sprawiając, że Daphne gwałtownie przystanęła.

– Słucham?

– Zapytałem, czy wejdiesz – powtórzył wolniej. – Przyprowadziłaś Maxa do domu już dwa razy. Pozwól mi odwzajemnić się chociaż ciepłą herbatą. Musiałaś zmarznąć...

– Nie, ja... – Urwała, przypominając sobie, że w domu nie czekało na nią nic prócz nierozpakowanych kartonów i niedokończonego obrazu. – Właściwie... Bardzo chętnie napiję się herbaty.

Wnętrze domu Briana było lustrzanym odbiciem jej własnych czterech kątów, z tą drobną różnicą, że o wiele bardziej przypominało miejsce, w którym ktokolwiek mieszkał. Mała kuchnia, do której ją zaprowadził, pachniała drewnem i mimo niewielkich rozmiarów sprawiała wrażenie naprawdę przytulnej.

– Obawiam się, że mam tylko czarną... – Rzucił przez ramię, zaglądając do jednej z szafek.

– Wypiję cokolwiek, co będzie po prostu ciepłe – odpowiedziała, siadając przy wyspie.

Potarła o siebie skostniałe od zimna dłonie. Choć ona i Brian mieszkali właściwie na tej samej ulicy, na zewnątrz szalał taki mróz, że nawet po krótkim spacerze jej knykie były widocznie zaczerwienione.

Obserwowała mężczyznę w milczeniu, gdy postawił na blacie dwa kolorowe kubki. Kosmyki czarnych, lekko kręconych włosów osunęły się na jego czoło i skronie, odbierając jego twarzy odrobinę surowości.

Gdy uniósł wzrok, Daphne pośpiesznie odwróciła głowę, udając, że wcale mu się nie przyglądała.

– Jak właściwie dowiedziałas się, gdzie mieszkam? – zapytał, przesuwając w jej stronę kubek z gorącym napojem.

– Miła starsza pani powiedziała mi, gdzie cię znajdę.

– Miła starsza pani? – powtórzył niepewnie.

– Tak. Ma na imię chyba Mary...

– Elder – dokończył, na co skinęła głową.

– Tak. Znasz ją?

Kącik ust Briana drgnął z suchym uśmiechem.

– Każdy ją tutaj zna. Powinnaś na nią uważać. Gdy następnym razem znów cię dopadnie, nie mów jej o sobie zbyt wiele, jeżeli nie chcesz, aby następnego dnia wiedziała o tym cała nasza ulica.

– Och. Wydawała się miła.

– Wszystkie wścibskie staruszki wydają się miłe. Co powiedziała ci o mnie?

– Nic... – Zamilkła, gdy Brian uniósł brew. Nie uwierzył jej. Cóż, znał panią Elder o wiele lepiej niż ona. – Może wspomniała coś o tym, że sporo pracujesz i dlatego Max ucieka.

– To prawda. – Usiadł po drugiej stronie blatu. – Spędzam większość dnia w pracy, ale to nie powód ucieczek Maxa. On po prostu mnie nie znosi.

– To nieprawda. Kocha cię. Przecież jesteś jego właścicielem.

– Max nie jest mój. Należał do mojej żony. Od kiedy jej nie ma, jest trochę niezdolny.

– Może kiedy wróci...

– Ona nie wróci – wtrącił.

Och.

– Ja... Przepraszam, nie wiedziałam.

– W porządku, przecież nie mogłaś wiedzieć. Choć muszę przyznać, że jestem zaskoczony, że pani Elder ci o tym nie wspomniała. Zwykle niczego nie zachowuje dla siebie.

Daphne uśmiechnęła się z zakłopotaniem, zła na samą siebie, że w porę nie ugryzła się w język. Objęła dłońmi gorący kubek, pragnąc zappełnić czymkolwiek tę kłopotliwą ciszę.

Wówczas mężczyzna niespodziewanie zapytał:

– To farba?

– Co? – Marszcząc brwi, zerknęła na własne ręce. Skrzywiła się nieznacznie, gdy dostrzegła na skórze błękitną smugę. – Tak. Malowałam, zanim tutaj przyszedłam. To znaczy... Próbowałam malować.

– Jeżeli potrzebujesz pomocy w remoncie...

– Nie – przerwała mu, aby pośpiesznie dodać: – Nie malowałam ścian, tylko obraz. Tym się zajmuję. To moja praca.

– Jesteś malarką? – Wydawał się szczerze zaintrygowany.

– Tak.

Daphne czuła na sobie ciężar spojrzenia mężczyzny. Podobnie jak chwilę wcześniej, gdy stała na ganku, najpierw uważnie zlustrował jej twarz, zanim powiedział:

– Jesteś pierwszą malarką, jaką poznałem. To musi być... Cóż, chyba lepsze niż finanse.

– Pirosmani chyba był innego zdania. – Zaśmiała się, ale gdy tylko dostrzegła, że Brian zmarszczył brwi, pośpieszyła w wyjaśnieniu: – Był gruzińskim malarzem i często malował obrazy za jeden kieliszek wina i trochę chleba... – Zamilkła gwałtownie. – Przepraszam. Czasami gadam głupoty...

– Nie przepraszaj. To ciekawe. Opowiedz mi coś jeszcze.

Gdy na niego spojrzała, zorientowała się, że on również na nią patrzył. Bez skrępowania, które zwykle towarzyszy nieznanemu. I bez cienia irytacji, jaka wypełniała jego oczy, gdy opowiadał o wścibskiej sąsiadce. Wyglądał... jakby naprawdę interesowało go to, co miała do powiedzenia.

– Cóż... – Sięgnęła po kubek. – Większość malarzy została doceniona dopiero po śmierci. Za życia byli albo biedni, albo uznawani za szaleńców, tak jak w przypadku... – Głos jej się załamał, gdy poczuła spięcie mięśni w nadgarstku. – Zupełnie jak... – Spojrzała na własną dłoń, na delikatnie drżące palce.

Nie.

Nie teraz.

Nie tutaj.

Poruszyła lewą ręką, która dotychczas spoczywała na jej kolanie, ale zanim zdążyła w porę chwycić zamierającą dłoń, kubek wysunął się spomiędzy jej palców i – podobnie jak chwilę wcześniej pędzel – z traskiem runął na podłogę, gdzie rozpadł się na kilka kawałków.

Daphne zerwała się na równe nogi.

– Przepraszam!

Obraz przed jej oczami na moment się rozmył, gdy upadła na kolana tuż obok rozlanej herbaty.

– Nie chciałam. Ja...

Słowa utknęły w połowie drogi do jej ust, zatrzymane niespodziewanym dotykiem i ciepłem zupełnie obcej dłoni. Nabierając w płuca powietrze, spojrzała na swój nadgarstek i oplatające go długie, męskie palce.

– Nie dotykaj – polecił Brian, a jego głos, niczym kubeł zimnej wody, w jednej chwili ją otrzeźwił. – Zrobisz sobie krzywdę.

Patrzyła na własną dłoń. Nie potrafiła oderwać od niej wzroku. Spięte mięśnie powoli się rozluźniły, ale rysa i tak pozostała. Miała być tam już zawsze.

– Daphne?

Poderwała głowę na dźwięk własnego imienia. Na spokój i łagodność, z jakimi rozbrzmiało.

Odwzajemniła spojrzenie ciemnych oczu Briana.

– Wszystko w porządku? – zapytał troskliwie.

– Tak. To tylko... zakręciło mi się w głowie. Przepraszam, że narobiłam kłopotu. Niepotrzebnie zajęłam ci tak dużo czasu. – Pod wpływem stresu i zakłopotania

słowa znów zaczęły wypływać z jej ust: – Są święta, na pewno będziesz miał gości, a ja...

– Daphne – przerwał jej. – Zawsze tak dużo mówisz? – Uśmiechnął się.

Zrobił to po raz pierwszy, od kiedy przekroczyła próg jego domu. Po raz pierwszy szczerze.

– Tylko gdy się zdenerwuję – odparła zawstydzona.

– Nie martw się. Nie czekam na nikogo. Jestem sam.

Daphne poruszyła bezgłośnie ustami. Czy zamierzała powiedzieć, że jej przykro? Być może. Ale o wiele bardziej pragnęła wyznać, że ona także była całym sobą.

– Nie licząc Maxa – dodał.

Spojrzała w dół, na dużą, ciepłą dłoń mężczyzny wciąż trzymającą jej nadgarstek. Następnie powoli wyswobodziła rękę z jego uścisku, mówiąc cicho:

– Chyba powinnam już iść.

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? Mogę odprowadzić cię do domu albo...

– Nie – wtrąciła, podnosząc się. – Dziękuję, ale poradzę sobie sama. Jeszcze raz przepraszam za kłopot.

– Nic się nie stało – uspokoił ją. – Trafisz do drzwi?

– Tak.

Kiedy Daphne się odwróciła, coś nie pozwoliło jej postawić więcej niż dwóch kroków. Zatrzymując się w przejściu pomiędzy kuchnią a wąskim korytarzem, być może pchana głupotą, a może odwagą, na którą tak rzadko się porywała, zdecydowała się powiedzieć:

– Ja też jestem sama.